

Pamiętnik Emigrantki

(autorka: **Anna K.**)

05.09.06, wtorek

Kupiłam dziś bilet w jedną stronę. Płakałam.

Bilet kupiony w promocji. Po to, żeby mieć się czego trzymać, żeby mieć określoną datę, jak cel. Bilet, dokładnie w rok po wylocie Maćka, w moje imieniny, dwa dni po święcie zmarłych.

Chcę, żeby było mnie stać na jedzenie i mieszkanie, żebym mogła się ubrać i kupić książkę, żebym nie chodziła do kina od święta, żebym nie musiała codziennie liczyć pieniędzy, żebym się nie musiała martwić skąd wezmę na rachunki, żebym nie musiała pracować po 10 godzin dziennie za najniższą stawkę. Chcę wrócić i mieć odłożone pieniądze na życie, na samochód. Teraz muszę zarobić na wyjazd, potrzeba mi 2 tys. (4 moje pensje, pół roku życia, a tam na miesiąc nie wystarczy). Maciek pożyczycy, pomoże, ale nie chcę brać pierwszej lepszej pracy, tylko dlatego, że muszę, bo nie mam gdzie mieszkać. Jutro zaczynam korki, potem wezmę zlecenie tłumaczenia. Ale wydam kupę kasy na konferencję, w ten weekend jadę do Wrocławia, dziś kupiłam droższe Zwierciadło, stać mnie. Jeszcze.

Dziś znalazłam listę agencji pośrednictwa pracy, będę się u nich rejestrowała, otrzymywałam emaile.

Zaczęłam mówić, że wyjeżdżam, tłumacząc innym, tłumaczę sobie. Nadal się boję. Maciek uspokaja, ale ja się boję. Nie wiem, czy dobrze robię. Powoli sama zaczynam sobie racjonalizować, ale nie wiem.

Tak mi szkoda tych rozmów, znajomych, swobody z jaką czuję się w Lublinie, w pracy. Mojego pokoju, moich rzeczy. Ile mogę z tego zapakować do walizki? Połowy ubrań nie wezmę, a moje rzeczy, książki, pamiątki? Jedzenie. Będę jadła jakieś świństwa, nie będę miała czasu sobie nic zrobić. Po co ja tam jadę??? Po pieniądze, po język? Nie jestem ciekawa świata, nie jestem open ani sociable, nie jestem self-confident. Do Maćka? Zapewnia, że wróci, jak powiem, żeby wracał... Po co? Bo znowu uciekam. Bo znowu nie chce mi się szukać, wybierać. Decyzja o wyjeździe była najłatwiejsza... bo nie była moja...

14.09.06, czwartek

No tak. Skoro się zagubiłam, zgubiłam i pogubiłam to wydawać by się mogło, że najrozsądniejszym sposobem jest zatrzymanie się i spokojne znalezienie drogi. Tylko, że jeśli od zawsze szłam na ślepo, bez celu, bez mapy, po to właśnie, żeby się zgubić? Wtedy właśnie zatrzymanie się jest najtrudniejsze. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że się odnajdę. Że jeżeli rozejrzę się wokół, to znajdę drogę. Że jeżeli stanę i poszukam słońca, wiatru, to obiorę kierunek.

Może rzeczywiście Londyn jest moją ucieczką. Ucieczką od szukania pracy tutaj, od dorosłego życia i dorosłych, świadomych wyborów. Ucieczką w Maćka, ucieczką w jakiś schemat. Znowu mogę się łudzić, znowu mogę się zawieść.

Może rzeczywiście Londyn jest moim lasem, moją szansą na dorosłość, moją głęboką wodą, moim sprawdzianem.

Może rzeczywiście Londyn jest moją szansą. Dobrym wyborem.

Może rzeczywiście Londyn jest moją porażką, moim błędem, bardzo złym wyborem.

Postanowiłam, że na „emigracji” będę prowadziła pamiętnik emigrantki. Ja w wielkim mieście, neurotyczka w Londynie, dorosłe życie, moja nauka pływania... znajdę stosowny tytuł jak znajdę wydawcę. W najgorszym wypadku będę umieszczała w Feminotece, albo w Zwierciadle! A oni mi znajdą wydawcę. Dodam parę smaczków, retrospekcji, parę feministycznych (sic!) wstawek, kilka refleksji, kilka obrazków z pierwszego mieszkania z pierwszym chłopakiem i takie tam. Na pewno świetnie się sprzeda. Na pewno dużo mi da.

Dziś nasza 1,5 rocznica. 18 miesięcy razem, w tym ponad 11 osobno. Razem tylko chwile. Będziemy się musieli odzwyczaić od wirtualnego związku. Będziemy się musieli nauczyć rozmawiać inaczej niż przez telefon, inaczej niż przez krótkie wiadomości tekstowe. Tylu rzeczy będziemy się musieli nauczyć. Może zacząć wszystko od nowa. Przeraza mnie to. To też mnie przeraza. Mieszkać z kimś. Mieszkać z obcym facetem, z którym się rozmawia przez telefon co kilka dni. W co ja się pakuję??!!

19.09.06, wtorek

Dlaczego jadę do Londynu? Bo mówi, że mnie kocha, bo powtarza, że kocha, że tylko to się liczy i to nam da siłę. Powtarza o swojej sile. A potem przyznaje się, że to może szantaż emocjonalny. Że jeśli będzie mi to wystarczająco długo powtarzał, to zrobię dla niego wszystko. Chce, żebym uciekła razem z nim. On we mnie, ja w niego,

oboje w Londyn. To miasto jest dla niego taką samą ucieczką. Ucieczką, odroczeniem, ucieczką w, ucieczką od.

25.09.06, poniedziałek

Zostawiam tu doktorat, karierę zawodową, zostawiam rodzinę i przyjaciół i moje życie i jadę do Londynu, gdzie mam tylko jego. I będę żyła jego życiem i nim. Nigdy nie planowałam jechać, nigdy o tym nie myślałam, jeszcze rok temu, gdy wyjeżdżał, jeszcze w styczniu gdy u niego byłam... I nawet nie załatwiłam sobie tam studiów, nie zorientowałam się jak to mogłoby tam wyglądać, nie. Jadę wszystko stracić. To się jakoś nazywa. Tanatos. W czystej postaci. Freud byłby ze mnie dumny.

Pomysł na siebie.

Szukam pomysłu na siebie. Młoda, ładna, inteligentna(?) kobieta szuka pomysłu na swoje życie. Pożądane ciekawe pomysły. Zaopiekuj się Sylwią. Jest taka zagubiona. Kto odnajdzie Mnie. Oddam w dobre ręce. Właściciel poszukiwany. Właściciel czeka w Londynie.

Może teraz przestanie mnie boleć serce? Kiedy już nie ma alternatywy? Kiedy już nie muszę wybierać. Gdy nie mam wyboru?

06.11.06, poniedziałek

Mój weekend w Londynie, mój weekend z Maćkiem. Prawdziwy szampan i prawdziwe perfumy. Weekend dla mnie. Początek wspólnego mieszkania, bardzo udany, wspólne kąpiele, wspólne śniadania, obiady, kolacje. A dziś rano zostałam sama. Maciek poszedł do pracy, a ja nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Poszłam na poszukiwania Family Planning Clinics, poprzedzone długą wizytą na necie. Zrobiłam małe zakupy, nie miałam już siły na szukanie pracy. Wróciłam, szukam pracy przez Internet. Czekam, aż Maciek wróci z pracy, zrobię mu/ nam obiad. Stresuję się, że moje życie mogłoby przez najbliższe dni tak wyglądać. Czekanie z obiadem, bycie utrzymywaną. Ale paraliżuje mnie sama myśl o tym, że miałabym pójść na rozmowę w sprawie pracy, gdzieś zadzwonić, zapytać. Siedzę pokoju, bo po domu włączy się masa facetów, a ja jestem obca, a ja nie umiem mieszkać z ludźmi, a ja boję się wyjść z pokoju, żeby się na kogoś nie natknąć.

Na szczęście jest Internet, na szczęście są znajomi, z którymi mogę pogadać, nie jestem sama, trzymam się tego.

10.11.06, piątek

Już rzeczywiście tydzień mnie nie ma. Szybko zleciało. Od poniedziałku każdy mój dzień wygląda podobnie. Wstaję, jem, myję się, szukam pracy w necie, wychodzę szukać pracy, robię zakupy, czekam na Maćka, jemy i niedługo trzeba się kłaść spać. Czasem odnoszę wrażenie, że więcej ze sobą rozmawialiśmy przez telefon. No i nadal średnio się wysypiam, i jakieś dziwne rzeczy mi się śnią. No i zaczynają się schody też. Takie drobne rzeczy. Ktoś pił z mojego żółtego kubeczka, ktoś nie posprzątał po sobie kuchni, zalał łazienkę i nie wytarł. Tu nie ma dyżurów do sprzątnięcia, a ja zrobiłam coś głupiego i umyłam wannę, zlew i płytki przy wannie, bo mnie krew zalewała, gdy widziałam czyjeś włosy w wannie i wieczny osad z mydła.

Mieliśmy też już z Maćkiem dwa zgrzyciki. Nawet sobie popłakałam- ale myślę że musiałam popłakać tak sobie, nad wszystkim. A z Maćkiem najpierw oboje się nabuzowaliśmy a potem jak już się wreszcie uspokoiiliśmy, to pogadaliśmy, długo, długo, ale coś nam się udało wyjaśnić. Maciek już nie chce wegetariańskiego jedzenia i sam sobie gotuje jak wraca, to zajmuje kupę czasu, a i jak nie mam pomysłu na obiad dla siebie, dziś będą naleśniki- każde sobie robi jakie chce. W domu w sobotę szykuje się impreza- bo jeden z mieszkańców dostał dobrą pracę i chce to uczcić, ale ja wolę się spotkać z Kasią, na mieście. W niedzielę chyba pójdziemy na Borata chociaż dla mnie to nadal dużo 10 funtów za bilet do kina, ale ja muszę gdzieś wyjść, Muzeum Historii Naturalnej też będzie super. Wczoraj zapłaciłam 2 funty za 10 xero CV i wybrałam się na wycieczkę po hotelach, a potem w nagrodę nad Tamizę do centrum, ale źle się ubrałam i zmarzłam, a wracałam 1 godzinę autobusem w korkach- bo nie mam biletu na metro do pierwszej strefy, ale cieszę się że się "wyrwałam". Cały czas czuję się ok, ale fakt, że musiałam wykroić z mojego CV trochę i trochę nakłamać, a w liście motywacyjnym się podlizywać i udowadniać, że obsługa klienta daje mi dużo satysfakcji, zabiera mi siły. Chciałabym już pracować- ale wydaje mi się że jeszcze muszę bardziej się przełamać. Ale nie łamię się; cieszę się na weekend.

16.11.06, czwartek

Moje dni w Londynie, moje szukanie pracy bezowocne. Moje czekanie na Maćka z obiadem, moja rutyna dnia codziennego, moje siedzenie przed komputerem i wysyłanie aplikacji, które nie doczekują się odpowiedzi. Moje od czasu do czasu ggadanie ze znajomymi. Moje nieodnalezienie się.

Mój Londyn, to ten pokój i ten komputer. To przemykanie do kuchni i staranie się o to, by nie zauważać tego brudu i nieporządku. Mój Londyn, to to łóżko, w którym mamy dla siebie czas z Maćkiem. To brak czasu na rozmowy. To nienasycenie sobą i

przesycenie jednocześnie. To stracone dni, to frustracja, to oszczędzanie funtów i wydawanie ich. To czekanie nie-wiadomo-na-co, to to zamykanie się na wszystko i wszystkich. Czekanie. Nawet nie na powrót do domu, tylko na to, żeby moje życie nabrało sensu. Mój płacz, gdy coś idzie nie tak. Zgrzyty pomiędzy nami i ich wyjaśnianie. Moje poczucie osamotnienia- to urojone i to prawdziwe. Moje zderzenia z tu i teraz tak czasem inne od moich oczekiwań i wyobrażeń. Od tego, do czego tęskniłam. Od tego do kogo tęskniłam. Ale nie mogę powiedzieć, że jestem nieszczęśliwa, że jest mi źle. Szczęście to te chwile, które wyłapuję. Nieszczęście to te chwile, które mnie doganiają.

Wczoraj nie był mój dzień. Nie dotarłam na umówione spotkanie, bo nie dostałam directions, bo net się zważył, bo metro nie działało, bo były korki, bo telefon się włączył i zżarł połowę karty, bo padał deszcz i pranie nie wyschło, bo kaloryfer u nas w pokoju zimny. Bo myślałam, że umrę, gdy wracałam 1.45 h do domu w korkach, zgnieciona jak sardynka.

30.11.06, czwartek

Cały poprzedni tydzień pracowałam w Fast foodzie u Turka na czarno. Zrezygnowałam po tygodniu. I tak miałam zrezygnować, bo nie dawałam rady fizycznie- a może tylko tak mi się wydawało, może dawałam tylko przesadzałam, że nie dam, bo jestem rozpieszczona i każda praca będzie dla mnie za ciężka. Może bym i poszła, ale nie po tym, jak mnie oszukał na kasie. Miało być 250 funtów a dostałam 150. Co prawda dzwoniłam do niego wczoraj i rozmawiałam i obiecał resztę (bo płacił mi jego ojciec a nie on) ale mimo wszystko wrażenie oszukania pozostało. Pracowałam dla niego jakiegoś 65 godzin, po 11 godzin dziennie i wracałam do domu nie czując nóg, ani nie myśląc ani nie czując niczego. Już kolejną noc z rzędu śniłam mi się milk shaki large i regular quterburgery z serem i frytkami, z cebulą albo bez cebuli i ten ojciec Ergona- obleśny Turek (bo Ergun to taki Brytyjczyk, tu się urodził i czuje się Brytyjczykiem) mówiący- can't give you more Darling. Nie chcę już pracować na czarno. Dziś idziemy do niego z Maćkiem, sama się jednak boję. Smutna to nauka, trudna szkoła. Nie byłam przygotowana.

W niedzielę byłam na rozmowie bardzo wypasionej knajpie na Candemie. W środę miałam 3 godziny próby, za które mi zapłacą(?). Dają tam na początek 6 za godzinę. Zaczynam od poniedziałku, nie chcę tej pracy, ale nie mogę wybrzydzać. Co może mnie lepszego spotkać bez polecenia?

W poniedziałek miałam rozmowę niedaleko Victoria Stadion w wypasionej sieci restauracji jako rezerwacjonistka- dziś dostałam papierowy list, że dziękują. Nie chcę już szukać pracy, czas ucieka pieniądze też. Co prawda oddałam dług Maćkowi i na razie

mam swoje pieniądze, ale nadal nie dorzucam się do chaty i mieszkam za darmo, też źle się z tym czuję. Przygniata mnie to wszystko i nie wiem co robić ze sobą i ze swoim życiem. Prawda jest taka, że na taki okres, na który przyjechałam już mi się nie uda znaleźć sensownej pracy, niestety, a bycie kelnerką po studiach mnie dobija. Dobijało mnie też bycie sekretarką za minimalne wynagrodzenie w Polsce.

Kolega Maćka, który pracuje na rezerwacjach w czterogwiazdkowym hotelu (tym samym którym otruty był szpieg Rosyjski spotkał Rosjan) zaproponował, że może mnie polecić tam do Business Centre – bo tylko polecenia mają jakiś sens, ale nie zrobi tego, gdy ja chcę wyjechać za 1,5 miesiąca to on będzie miał problemy potem. Już dwie Polki z tego samego stanowiska zwały po 2 msc. Generalnie przemyka mi przez głowę myśl jaka przyszłość mnie czeka gdy wrócę, a jaka gdybym została. Bo poszłam dziś tam na rozmowę. Dałam się namówić Tomkowi i Maćkowi. Dostałam tę pracę - teraz muszę zrezygnować albo zdecydować się na zostanie tu jeszcze przynajmniej pół roku. Potem nie będę miała do czego wracać w Polsce. Nie miałam odwagi powiedzieć o tym mamie, gdy do niej dzwoniłam dzisiaj. One ciągną mnie tam, on trzyma mnie tu. Ja pośrodku bezwolna, bierna.

Na pytania o to, czy podoba mi się Londyn nie potrafię odpowiedzieć. Londyn jaki znałam z poprzednich wycieczek teraz pojawił się tylko raz w muzeum. Teraz Londyn to takie dzielnice jak moja. Z lokalnymi sklepikami i pubami, z kebabiszami. Brudne, zaniedbane. Londyn to wycieczka do Ikei po kołdrę i po kocyk. Codzienne zakupy, pranie.

Z Maćkiem mi się układa - czasem jest super, czasem tylko fajnie, ale ogólnie jest dobrze. Oczywiście pojawiły się takie małe zgrzyty pewna niekompatybilność charakterów, pewne szczególiki które potrafią doprowadzić do pasji i też takie małe rzeczy, które sprawiają, że wiem dlaczego jesteśmy razem i dlaczego tu przyjechałam. Spanie razem stało się wygodniejsze pod dwoma kołdrami, ale niej intymne, mniej razem. Dostałam bieliznę od Maćka. Za 38 funtów. Z dobrego sklepu. Poprawiła mi humor tylko na chwilę. A zasłużyłam na tak drogą bieliznę tylko dlatego, że dziś wszystko kosztowało 20% mniej.

Przeziębiam się. Powala mnie grypa. A może to nie grypa? Grypa jest tylko symptomem, przejawem, a choroba jest inna.

02.12.06, sobota

Nie wiem jak to się stało. Wzięłam tę pracę. Zdecydowałam się zrezygnować z projektu w Lublinie i zostać tu jeszcze trochę - na ile, nie wiem. Kilka miesięcy, rok, pięć

lat - jak chce Maciek, nie wiem. Nie wiem na ile była to moja decyzja, w niewielkim stopniu, umówmy się. Podjęta spontanicznie, nie przemyślana. Nie chcę już myśleć. Byłam niezdecydowana i niepewna pozwoliłam wypadkom zdecydować. Teraz będę racjonalizować, żeby nie popaść w szaleństwo. Rozmowa z mamą, reakcja Agi, reakcja moich koleżanek. Mój dorobek naukowy, moje doświadczenie zdobyte po studiach. Moje szanse na karierę naukową. Moje ambicje, moja droga życiowa, moja droga kariery. Moje zdrowie, moja samodzielność, dorosłość.

Nawet Maciek był zdziwiony. Powiedział, że był pewien, że wracamy. Też byłam pewna. Nie wiem skąd ta decyzja. Obudziłam się rano i znów miałam to samo uczucie: NIE. Nic z nim nie zrobiłam.

08.12.06, piątek

Nie mam czasu ani siły rozmyślać, zastanawiać się czy analizować. Staram się nie żałować. Racjonalizacja? Pewnie że tak. Głęboko gdzieś w środku myślę, że to nie do końca był dobry pomysł, że to część gry- zrób coś, a potem się obwiniaj, żałuj, siebie albo innych- przecież nie wiesz czego chcesz- życie jest sumą wyborów- niech twoje będą przypadkowe. Może. A może, miałam ochotę po prostu pożyc na własny rachunek, zrobić coś innego... Na razie jest fajnie. Cała masa nowych, sympatycznych ludzi, fajne rozmowy, nowe rzeczy. Dużo się uczę, ale myślę, że za jakiś czas znudzi mi się ta praca- na dłuższą metę, jest nudna, szczególnie nocą. Że mój organizm się zbuntuje zacznę się sypać, że tak bardzo będę tęsknić za Maćkiem, że będziemy się mijać, że to rozwali nasz związek. Będę żałować tego co w Polsce, tego co straciłam, tego co ma Aga, moi znajomi. Z doktoratu zrobię sobie symbol- nigdy go nie zrobię i zawsze będę żałować.

15.12.06, piątek

Jeżdżenie metrem jest fascynujące. Ci wszyscy ludzie, tak różni, tak kolorowi. Tyle nacji i języków. Wszystkich języków świata. Taki jest Londyn. „Ziemia obiecana”, „Przylądek Nadziei”. Niesamowite. Zastanawiam się czasem po co ci ludzie tu przyjechali, co ich tu trzyma. Czym się zajmują te młode Francuzki i czy ten Hinduski chłopak jest Brytyjczykiem czy imigrantem, co czyta ta młoda Angielka. Obserwuję, przyglądam się, gapię. Pozostali rozmawiają, a gdy jadą samotnie to albo czytają, głównie jakieś opasłe powieści, albo siedzą zasłuchani ze słuchawkami na uszach, lub też przysypiają jadąc do lub wracając z pracy. Wczoraj, jedna dziewczyna dokonywała niewiarygodnej rzeczy, patrzyłam zafascynowana jak, mimo słabego światła i wstrząsów wagonu, robiła makijaż, łącznie z niezwykle wprawnym użyciem zalotki. Pewnie wykonuje tę czynność codziennie,

ja jednak w tym momencie zupełnie szczerze ją podziwiałam. Ja się przyglądam, albo wykorzystuję te 15 min jazdy, żeby się zatrzymać i zastanowić, poświęcić czas sobie.

Oxford Street. Najbardziej zatłoczona ulica w Londynie, pokonuję ją codziennie. Ciekawe kiedy przestanie to robić na mnie wrażenie.

22.12.06, piątek

W Londynie zrobiło się chłodno. Dla autochtonów +5C to "freezing", dla mnie i tak wysoka temperatura jak na grudzień. Nie będzie śniegu. Jest za to poranna mgła. Taka prawdziwa (przynajmniej na ile ja to sobie wyobrażałam) londyńska mgła. Wychodzę o 8 rano z pracy i świat jest biały, dochodzę do Oxford Street i się trochę przeredza, a może to tylko złudzenie, bo mgła zawiesza się na ścianach i dachach ogromnych sklepów a spieszący się do pracy ludzie rozmywają wrażenie nierealności mlecznej aury. Wychodzę z metra i tylko resztki mgły rozplywają się obok mnie. Powinnam zacząć nosić czapkę.

Mamy w domu małą choinkę. Choineczkę w zasadzie. Nigdy nie miałam tak małej choinki, w sumie no nawet inny rodzaj świerku niż "nasz". Nie sądziłam, że kupienie choinki w Londynie jest takie trudne. Kwiaciarni też nie ma dużo- gdy była potrzebna włożyłam wiele wysiłku by ją znaleźć. Choinka jest tak mała że światełka są na nią za długie, za dużo, nie będzie miała bombek. Dwa czekoladowe mikołaje przysłane przez Maćka mamę ozdobią ją całkowicie. Stoi w kuchni na lodowce. Mamy też biały obrus, ale na Wigilię idziemy do znajomych.

Nie zostajemy w domu. Idziemy na zbiorową wegańską Wigilię, nie będzie ryby ani karpia- i tak bym nie jadła, nie będzie opłątka. Opłatkami i prezentami podzielimy się z Maćkiem i mieszkańcami po powrocie. Będziemy musieli wrócić przed północą bo o północy przestaje jeździć metro, stają autobusy. Całe Boże Narodzenie jest pozbawione komunikacji. Londyn zamiera. Ale ciekawe jest to, że na naszej ulicy sklepy i tak będą otwarte. W końcu to jest czarna dzielnica, na której rzadko słyszy się angielski. Boże Narodzenie spędzimy przy winie i dobrym filmie. W noc sylwestrową pracuję, ale Maciek będzie ze mną, może nawet uda mi się wypić lampkę szampana;)

02.01.07, wtorek

Święta na obczyźnie. Takie nieświęteczne, takie bolesne, takie nierodzinne. Płakałam, gdy rozmawiałam z mamą, ona też płakała. Składanie sobie życzeń przez telefon, przytulanie się przez telefon, tęsknota, której nie umiałam wyrazić. Jedyne świąteczny akcent, to kupowanie Maćkowi prezentu i ta choinka, którą postawiono w kuchni na lodowce. Takie niezdrowe i smutne podniecenie współlokatorów, kupowanie

uszek i barszczu w polskim sklepie, gotowanie bigosu. My pojechaliśmy na Wigilię na drugi koniec Londynu, chciałam spędzić ją z ludźmi, których znam i których lubię. Wegańska ryba po grecku, kutia, kompot, makowiec i inne specjały. Nie było życzeń ani opłatka, za to było miło i sympatycznie. Zabawiłam się w Mikołaję i przyniosłam mandarynki w worku. A gdy wróciliśmy „do domu” tamci biesiadowali przy zastawionym stole nakrytym białym obrusem. Zdażyli już opróżnić dwie butelki whiskey i usiłowali pijackim wysiłkiem śpiewać Kolendy; nie było sensu siadać do stołu.

Ja w Londynie, a mama z Agą same w domu, wszystkie trzy czułyśmy dotkliwie swój brak. Następne święta na pewno spędzę w domu; nawet jakbym miała wydać majątek na bilety; chyba, że do tego czasu wrócę już do domu.

Sylwester też miałam ekstraordynaryjny. W pracy. Zabrałam Maćka i przesiedział ze mną te 12 godzin, było całkiem miło. Wychylił trzy lampki prawdziwego (i drogiego) szampana i w całkiem dobrej kondycji przywitaliśmy noworoczny poranek. A powrót z pracy, pustymi ulicami, które nie ostygły jeszcze od noworocznej gorączki była całkiem oryginalny. Ciekawe jak wielu Polaków musiało pracować tej nocy. Jak mój Manager mi powiedział, że pracuję w Sylwestra była zła i czułam się wykorzystana, potem sam zaproponował, że mogę wziąć chłopaka. A wyszło całkiem fajnie; nie musieliśmy pić na umór z bandą Polaków i leczyć kaca.

05.01.07, piątek

Praca w systemie trzy on i trzy off ma podstawową zaletę. Co trzy dni mam trzy dni /noce wolne. I mam na wszystko czas i mam czas dla siebie. Zawsze nastawiam sobie budzik najpóźniej na 12:00 ale mogłabym spać po 12 godzin. Praca w nocy jednak bardziej wykańcza. W marcu przenoszę się na dzień, ale będę zarabiała mniej i będę pracowała na różne zmiany. To podstawowy minus, i to, że jeden weekend w miesiącu będę pracowała. Nie mogę się zasiedzieć w tym hotelu. Jak chcę tu być- nie ważne ile, jestem tu, to nie mogę cały czas pracować na nocie i nie uczyć się więcej. Na dniach będę się uczyć i będę miała szansę się przenieść, albo w ramach hotelu, albo gdzieś indziej.

Pracując na nocie mam cudowną okazję porozmawiania z ludźmi; takiego rozmawiania z potrzeby rozmawiania, szukania swojego towarzystwa i wykazywania zainteresowania drugą osobą, jej odmiennością i tym co ma do powiedzenia. Szczególnie fascynujące było na początku to, że miałam do czynienia z trzema osobami z Południowej Afryki. Okazało się bowiem, że moja mglista wiedza na temat apartheidu i wojen burskich szufladkowała moja wiedzę na temat tego skomplikowanego kraju i jeszcze bardziej skomplikowanych relacji. Do tej pory potomkowie angielskich osadników nie przepadają

za potomkami osadników z Północnej Europy a jak dołączymy do tego kilkanaście plemion afrykańskich to wychodzi nam całkiem niezła mozaika. Te rozmowy zmusiły mnie do poszerzania wiedzy na własną rękę za pomocą Internetu, aby w tych rozmowach nie wyjść na kompletną ignorantkę. Na przykład nie wiedziałam, że pierwsze obozy koncentracyjne powstały właśnie tam, żeby Anglicy mogli się pozbyć problemów z Burami. I że określenie Bur jest bardzo problematyczne i kto to tak naprawdę jest Afrykaner i że biali nie lubią się tam tak samo jak czarni i czarnych oraz, że najlepiej jest mieszać na strzeżonym osiedlu, bo wtedy nie boisz się wychodzić na ulicę. A ich nazwiska, świadczą o tym, że ich rodzice i dziadkowie pochodzili z różnych stron świata. Stefan, dla którego afrykanerski jest pierwszym językiem, jest bardzo dumny z tego, że mówi po angielsku lepiej niż niejeden Anglik, przyjechał, bo chce, żeby jego dzieci pochodziły z kraju pierwszego, a nie trzeciego świata. Ma niesamowite kompleksy z tym związane. On, w przeciwieństwie do mnie, musi mieć wizę, żeby móc tutaj pracować. Ma kompleks mniejszości, który stara się na wszystkie sposoby zatuszować.

23.01.07, wtorek

Nie pisałam tak długo. Nie mam odwagi pisać, tłumię w sobie strach, tęsknotę i świadomość błędów, które popełniam. Wypieram niepewność i pewność, racjonalizuję, pomijam fakty, nie widzę i udaję sama przed sobą i przed innymi, że jest super. Nie piszę, bo wiem, że jak się czegoś nie powie i nie napisze, to można udawać, że tego nie ma. Udawać po to, żeby było łatwiej, żeby o tym nie myśleć, żeby nie bolało, żeby się nie zastanawiać. Ze strachu przed tym, że się okaże że nie wszystko jest fajnie, że jest niefajnie, staram się, czasem na siłę, żeby było fajnie. Zmiany, które sobie zafundowałam są za duże żeby je udźwignąć. Wszystko zmieniłam, cały mój styl życia, cały mój dzień wygląda inaczej. Jest w nim praca i Maciek. Nikt i nic więcej.

Czasem mi się wydaje, że znowu się zamykam w swojej skorupce, odgradzam, oddzielam i buduję mur. Że znów znajduję ucieczkę w samotności i w samotnictwie. No bo kogo ja tutaj mam, żeby się otworzyć? Wszyscy zostali na gg i pojawiają się od czasu do czasu. A przed samą sobą otwierać się nie muszę. Nie zadaję pytań, nie chcę wiedzieć przed czym uciekam. Pozwalam się schować.

Bardzo brakuje mi Maćka. Mijamy się tylko, albo on pracuje albo ja. Nie widzimy się, nie rozmawiamy. Czasem znajdujemy czas na seks. Za rzadko. Brakuje mi naszych rozmów. Brakuje tej magii, przytulania, rozmawiania. Ucieka nam to, bo nie mamy czasu, ucieka nam to, bo mamy inne zajęcia, ucieka nam to, bo ja jestem smutna, zła, niezadowolona. Nie mówię mu tego, on nie chce tego słuchać. Lubię trzymać go za rękę, zasypiać i budzić się obok niego. Lubię razem gotować obiad. Podobało mi się gdy

zrobił mi niespodziankę przygotowując gorącą kąpiel. Podoba mi się, gdy mnie pragnie, jak mnie pragnie. Gdy mówi do mnie najdroższa. Że uważa, że zasługuję na drogie perfumy i drogą bieliznę. Lubię nasze wieczory z butelką wina, wspólne oglądanie filmu, nasze rozmowy przed zaśnięciem. Jest tyle drobnych rzeczy, które mnie irytują, które mi przeszkadzają. Docieramy się. Staramy się.

Boję się mojego urlopu, boję się pobytu w domu. Boję się domu. Boję się mamy i o mamę, boję się rozmowy z Agą. Boję się, że tęsknota mnie dopadnie. W mojej łazience, w moim pokoju. Przy kawie, przy ciachu. Boję się, że się rozkleję i będzie mi bardzo trudno wracać. Boję się, że nie będę chciała. Boję się, że po spotkaniu z dziewczynami, jeszcze bardziej będę żałowała, że straciłam projekty. Boję się, że zdam sobie sprawę, że nie podoba mi się moje obecne życie, że wolałabym takie, które czekało mnie w Lublinie.

Tak wiele rzeczy w sobie tłumię. Znowu. Tak wiele rzeczy mnie prześladuje. Znowu. Tak wielu rzeczom nie mam siły stawić czoła. Jeszcze.

01.02.07, czwartek

Taki trudny powrót do domu. Mój dom, łóżko, miś. Mama, siostra, wspólna kawa na naszej kanapie. Tak jakbym nigdy nie opuszczała domu. Tak jakbym wyjechała trzy miesiące temu. Jakbym z niego uciekła. Przed kim/ czym? Do czego/ kogo? Czasem łzy ściskają gardło, nie płaczę. Zakładam maskę. Uśmiecham się, a łzy zatrzymuję w sobie. Głęboko. Zapłaczę jak dotrę do Londynu. Dom jest tutaj. Tam jest pokój. Uciekłam z domu, żeby dzielić pokój z Mackiem. Mówię, że układam sobie życie. Nie, ja wegetuję. Mówię, że moje życie w Londynie wygląda zupełnie inaczej niż w Lublinie. Nie, ono teraz nie wygląda. Nie umiem sobie zorganizować czasu wolnego. Nie mam pomysłu, nie chce mi się, nie wiem co ze sobą zrobić.

Praca, Maciek i zamykanie się w sobie.

20.02.07, wtorek

Wpadam w panikę. Codziennie rano, popołudniu, wieczorem, w nocy muszę usilnie odpędzać od siebie panikę. Codziennie od nowa walczyć z biciem serca, z tym wszechogarniającym uczuciem z tymi myślami, ze strachem. Strachem, który ostrzega, strachem przed tym co zrobiłam i co robię. Ze swoim życiem.

Żałuję

Żałuję

Żałuję

Żałuję, że tu przyjechałam, żałuję, że zostałam, żałuję każdego dnia spędzonego nie dla siebie, nie tak jakbym chciała, bez sensu, bez celu. Każdego. Nie mojego życia. Żyję nieswoje życie, to nie może być moje życie. Moje życie nie może być takie. Nie chcę. Dalej w to brnę. Czekam na niego. Całe moje wolne dni czekam na niego, czekam, gdy pracuję żeby mieć wolne, żeby móc na niego czekać. Żyję po to żeby z nim być. Nie dla siebie. Pracuję w beznadziejnej pracy, żeby z nim być, a sens moim dniom nadaje bycie z nim. Nie wychodzę, czekam, nic dla siebie nie robię, czekam. Nawet czytając książkę spoglądam na zegarek, żeby nie spóźnić się z obiadem, czekam. Łowię każdą wspólną chwilę, bo bez tego nie znajduję żadnego sensu, to jest sens jedyny. Nie przyjechałam tu dla pieniędzy ani dla kariery (sic!), nie przyjechałam po lepsze życie, ani żeby nauczyć się języka. Przyjechałam dla niego. Bez niego mój przyjazd tutaj jest bez sensu, dlatego muszę być z nim, żeby nie myśleć, żeby bezsens mnie nie napadł, ale i tak napada. Gdy on woli spędzać swój wolny czas inaczej, gdy on nie żyje dla mnie, gdy woli iść na mecz niż porozmawiać ze mną.

Za każdym razem, kiedy dostaję wiadomości z Polski mam świadomość tego co straciłam, zaczynam widzieć to, co mama i Aga widziały zawsze, zaczynam wiedzieć, że to przeze mnie/przez niego/dla niego. Straciłam przyszłość i karierę. Płaczę. Płaczę nad sobą i nie jest to uzalanie się, ale żal.

Duszę się, nie poznaję swojego życia. Praca, dom, praca dom, praca, dom, gotowanie, sprzątanie, pranie, czekanie. Od czasu do czasu jakaś książka, z rzadka jakiś film, jeszcze rzadziej jakieś spotkanie (z kim?). Żadnych zainteresowań, żadnych zajęć, żadnego hobby poza seksem. Żadnej działalności, żadnej aktywności (umysłowej bądź fizycznej). Miałam napisać dziennik emigrantki a zbieram się do tego już miesiąc. Od wielu tygodni nie jestem w stanie zabrać się do pisania pamiętnika, nie chcę sobie uświadomić prawdy, żeby nie musieć z nią potem czegoś zrobić.

22.02.07, czwartek

Przeprowadziliśmy się. Wczoraj poznałam naszą nową współlokatorkę. Powitałam ją donośnym piskiem. Wszystkie kobiety świata, które choć raz widziały mysz znają ten pisk. Biedaczka była tak wystraszona, że schowała się za lodówkę i za nic nie chciała wyjść. Chyba się połapała, że nie chcemy lokatorów na czarno (szaro), a może usłyszała jak rozmawiamy o przygarnięciu jakiegoś kota. Koniec końców postanowiła jednak u nas nie zostawać. Gdy wieczorem postanowiła wyprowadzić się przez kuchnię pożegnałam ją donośnym piskiem – mogła nie wybierać drogi tuż przy moich stopach. Konrad otworzył jej drzwi. Mam nadzieję, że nie wróci.

Rano sąsiadka z góry postanowiła zrobić pranie. Codziennie na nowo zadziwia mnie papierowość ścian londyńskich domów. Słyszać dokładnie wszystko. Nie jestem w stanie zasnąć bez zatyczek do uszu. Wolę, żeby było mi nie wygodnie, niż przewracać się z boku na bok, modląc się, żeby wreszcie raczyli się wszyscy uciszyć. Kroki na schodach, telefon, spuszczenie wody w toalecie, branie prysznic. Wszystko. Ach te wiktoriańskie domy.

25.02.07, niedziela

Miała rodzinę. Sąsiedzi mają koty, więc wszystkie myszy przyszły do nas. Mam nadzieję, że pianka wprowadzana do wszystkich dziur powstrzyma ich napływ, nie chcę więcej piszczeć i bać się własnych cieni i wstrzymywać oddech przed włożeniem butów.

Jeden z kotów sąsiadów albo lepiej pewien kot-sąsiad, którego miauczenie słyszałam pierwszego ranka i którego widziałam przechadzającego się przed wejściem oraz wygrzewającego się w naszym ogrodzie, próbował się dzisiaj ze mną zaprzyjaźnić. Siedziałam przy biurku, a on z szeroko otwartymi zielonymi oczkami zatrzymał się, w pół kroku gdy mnie zauważył. Z jedną łapką zastygłą w powietrzu zastanawiał się przez chwilę co zrobić. Uspokajany moimi słowami nie przekonał się chyba do mojego uśmiechu, odwrócił się i odszedł, oglądając za siebie jeszcze kilka razy. Wieczorem pojawił się na moim parapecie. Gdy go zauważyłam tuż obok, oddzielonego szybą, posłałam mu takie samo zdziwione spojrzenie jak on mnie, nie wiem jak długo mnie obserwował. Musiałam jednak wykonać gwałtowny ruch, bo raptownie zeskoczył i susem przemierzył ogródzenie.

W domu miałam kota.

26.02.07, poniedziałek

Okno naszego pokoju wychodzi na ogródek, który dzielimy z sąsiadami z góry, tuż za murkiem ogradzającym ogródek rozciągają się boiska sportowe. Nikt nie wiedział o ich istnieniu, zanim się tu nie wprowadziliśmy. Nie lada było moje zaskoczenie i zdenerwowanie, gdy pierwszej nocy na nowym miejscu obudził mnie i skutecznie nie dał spać, krzyk młodych angielskich kibiców. Podobno w lecie grają codziennie. Kupię zapas zatyczek do uszu.

Nawet nie zauważyłam, że w ogródku zakwitły żonkile. Caroline dzielnie pieli i przesadza, po „naszej” stronie ogródka rozgardiasz nowych lokatorów. Fajnie będzie w lecie pić kawę na zewnątrz i urządzać wieczorki przy winie i komarach.

Gdy patrzę w górę widzę samoloty. Lecą całkiem nisko, więc pewnie ze Stansed albo z London airport. Nie robią już na mnie wrażenia, całe niebo nad Londynem jest nimi usiane, zamiast ptaków samoloty.

Dziś po raz kolejny planuję wybranie się po roślinkę. Ci głupi Anglicy albo wcale nie potrzebują kwaciarni, albo już jak jakąś znajdę, to tylko z ciętymi kwiatkami. Przecież nie będę jechała do Ikei tylko po kwiatka! Chcę się poczuć tu bardziej u siebie. Gdy kupię parę bibelotów, fajne plakaty na ścianę i kwiatka to będzie tu bardziej domowo. Mam nadzieję, że nie ususzę roślinki.

28.02.07, środa

Przez dwa tygodnie codziennie przechodziłam obok wystawy Jane Norman, mój wzrok przyciągała sukienka. Przyzywała mnie i wołała a ja uparcie odmawiałam. Twierdziłam, że jest za droga, że mnie na nią nie stać, że nie zasługuję, że nie jest mi potrzebna, że nie miałabym jej gdzie nosić i takie tam. Męczyłam się strasznie. W końcu ją kupiłam. Miałam wyrzuty sumienia, bo w Polsce w życiu nie kupiłabym sukienki bez powodu za 200 złotych, a tu wydałam jednak te 40 funtów. Przeliczyłam sobie cenę na moją dniówkę i wyszło, że mnie jednak stać na coś od czasu do czasu. Warto było.

Ale i tak zakupy planuję w Polsce, torebka, buty, rękawiczki, portfel. Jedzenia trochę też przywozę, tu jednak takiego nie mają. Zrobię zapas lekarstw.

29.02.07, czwartek

Kupiłam sobie roślinkę. Postawiłam ją na stoliku i od razu zrobiło się inaczej w pokoju. Poczułam się normalniej, prawie dobrze, prawie jak u siebie i mimo, że prawie stanowi dużą różnicę, to jednak mam roślinkę na miarę swojego pokoju.

Tęsknię za moimi przyjaciółmi, za moim oswojonym Lublinem. Za mamą, za moim pokoikiem, za moim dawnym uporządkowanym i celowym życiem.

12.03.07, poniedziałek

Na każdym rogu, w każdej dzielnicy Polski Sklep. Jak w domu. Chleb, mleko, sok, jogurt, ser, serek, dla Macka mięso. Te zakupy robimy w Polskim Sklepie, nie jem tutejszego chleba, nie smakuje mi tutejsze mleko, soki też wolę o znajomym smaku. Popyt tworzy podaż, powstają nowe, z coraz bardziej urozmaiconym asortymentem, a polskie produkty można też znaleźć w wielu sklepach niepolskich. Jak pierwszy raz zobaczyłam Flipsy czy princeskę w Costcaterze to się roześmiałam z uciechy, teraz

wydaje mi się to normalne, że w Londynie kupuję Łaciate i sok Tymbarku, ale gdy przyjechałam, było to dla mnie dużym zaskoczeniem. Kiedy poszłam kupić pączki w Tłusty Czwartek zaskoczyła mnie nie tylko świeżość i smak wypieku, ale też kolejka i fakt, że klientami sklepu byli nie tylko Polacy, ktoś odezwał się po angielsku. A najśmieszniejsze było to, że przyszyły polskie cyganki, cała (a może nie) wielopokoleniowa gromada kobiet. Kręciły się po sklepie i wybierały produkty. Dałabym sobie głowę uciąć, że gdy starsza pytała o cenę kisielu wiśniowego inna podwędziła bułki. A pomyśleć, że ta scena rozegrała się na Seven Sisters w Londynie a nie na ul. Lubartowskiej w Lublinie.

Ulice są opanowane przez Polaków. Metro, autobus, chodnik. Muzea, Hyde Park, Camden Town. Gdziekolwiek się pojawisz, wcześniej czy później usłyszysz język polski. Całe domy są zamieszkane przez Polaków; nie ma ulicy bez domu w którym mieszkali by Polacy, tworzą się powoli takie małe getta. Kilka polskich domów w niewielkiej odległości od siebie. Idziesz do pracy też Polacy, mieszkasz z Polakami. Nie można się uwolnić od własnych rodaków. Nie wiem, gdzie musiałabym mieszkać i pracować, żeby nie spotykać ich na każdym kroku. Nawet w City musi być nas pełno.

Nauczyłam się czegoś przez te kilka miesięcy. Bezbłędnego rozpoznawania Polaków na ulicy. Z kobietami jest trudniej niż z mężczyznami, ale i tak nieźle. Sprawę oczywiście ułatwia rekwizyt jakim jest polskie piwo w ręku. Nie wiem, co jest znakiem rozpoznawczym, jeszcze tego nie wiem. Wiem za to, że ten człowiek, który siedzi na przeciwko mnie w metrze jest Polakiem, nie czyta Polskiej książki (ja czytam) ani nie ma polskich napisów na koszulce, niczym się nie wyróżnia. Patrzymy na siebie i wiemy. Sekretne porozumienie imigrantów? Czy może to nasza krew, wysyła jakieś magiczne sygnały. A może to jakieś spojrzenie oczu, może jakaś postawa, zdradzająca, że właściciel ciała znajduje się nie na swoim miejscu, nie w miejscu swoim. Nie wiem. W Paryżu, jak na ulicy rozpoznawano, że jestem Polką, myślałam, że to magia, dziwiłam się niepomiarnie. Teraz ja posiadam tę moc rozszyfrowywania. Chyba, że ktoś się dobrze zakamufluje, wcieli w londyńskie społeczeństwo, zasymiluje, pobędzie tu wystarczająco długo, żeby nie mieć na sobie żadnej polskiej rzeczy, żeby niczym się nie zdradzić. Nie mówię, że rozpoznaję wszystkich, co do jednego. Tego nie mówię. Ale nie mylę się nigdy.

29. 03.06, czwartek

Pracuję w dzień. Wstaję o 5.30 żeby zdążyć na 7.00 do pracy, wyrabiam się w pół godziny, pobijam rekordy, śpiam mniej niż sześć godzin, a po powrocie do domu jestem tak zmęczona, że mam ochotę tylko spać, ale się nie kładę, żeby nie marnować dnia, i tak marnuję. Pracując nocą nie stresowałam się, spałam dłużej, miałam więcej czasu dla siebie. Teraz nic mi się nie chce, nie mam na nic ochoty, popsuta mi się cera.

Tak już dwa tygodnie, a teraz będzie jeszcze gorzej, w następnym tygodniu pracuję od 14.30 do 23.00.

Pomalowałam włosy, żeby nie było widać siwizny. Dobrze zrobiłam, siwych włosów przybywa. Rano dowiedziałam się, że wyglądam na zestresowaną. Stały gość hotelu, który dużo płaci znów na mnie nakrzyczał, bez powodu, nakrzyczał na innego gościa, który stanął w mojej obronie. To był stres. Na pewno pod farbą przybyły siwe włosy. Czekolada nie pomogła, nadal wyglądam na zestresowaną. Jestem.

W pracy praktycznie nie spotykam Anglików, ani Brytyjczyków. Niektórzy mówią po angielsku, niektórzy nawet bardzo dobrze, dla części jest to nawet język ojczysty, ale spokojnie można by pracować w tym hotelu nie mówiąc w tym języku ani słowa, niektórzy tak robią. Szczególnie jak się jest Polakiem. 25% staffu to Polacy. Pracuję z Polakami, jem z Polkami lunch w kantynie, wszędzie słychać Polski, albo Polaków rozmawiających po angielsku. Polska mafia.

Jeden z gości, słysząc jak mówię po Polsku podzielił się ze mną uwagą, że Polaków w Londynie jest więcej niż Anglików/ Brytyjczyków, według niego 6 mln. Twierdził, że zalewamy Wyspy i że nawet w porządnym hotelu wszędzie słyszy obce języki. Nie był tymi faktami zachwycony.

06.04.07, piątek

Już dwa tygodnie temu życzone mi Happy Easter, znalezienia wielu jajek i pysznego czekoladowego ciasta. Nie pojechałam do domu na święta, nie pojechałam by jeść święconkę w niedzielny poranek, czynić zadość tradycji spoczywając więcej jajek niż zazwyczaj, jedząc zupę na śniadanie i nowalijki. Za to kupiliśmy sobie w polskim sklepie mazurka, mazurek musi być. Czekoladowe jajka nie kręcą mnie bardziej niż każda inna czekolada.

Wczoraj spędziłam popołudnie w Hyde Parku. Tłoczniej tam niż na Oxford Street, choć wczoraj właśnie na Oxford Street otworzyli nowy sklep Primark'a. Tak jakby wszyscy, pracujący w centrum poszli po pracy poleżeć na trawie w Hyde parku, albo wyprowadzić psa, albo wyprowadzić dziecko, poczytać, pospacerować, pogapić się na wiewiórki, powdychać świeższego, wiosennego powietrza, kwiecica przeróżnego, powystawiać twarz na słońce. Takie popołudnia jednocześnie rozleniwiają i dają dużo energii. Uwielbiam wiosnę. Wiosna jest wszędzie tak samo piękna.

Wracalam metrem w towarzystwie ludzi (głównie kobiet), którzy zdecydowali się zaryzykować pojawienie się na otwarciu nowego Primarka. Kobiety z kilkoma siatkami, kilka murzynek obładowanych kilogramami ciuchów, żartowały, że nie mogą się doczekać powrotu do domu, przymierzyć zdobyczy i zdecydować, co zwrócić do sklepu. Podobnie było z zimową wyprzedażą. Pierwszy dzień wyprzedaży rozpoczął się o 6.00 rano, a gdy o dwie godziny później mijałam Next, ludzie wychodzili z kilkoma siatkami na raz, a wewnątrz sklepu wyglądało jak pobożowisko, wycofałam się od razu.

Uwielbiam jeździć do centralnego Londynu. Spacerować między tymi pięknymi zabytkowymi kamienicami, małymi uliczkami, zza których spoziera co krok jakiś gotycki kościół, katedra. Kamienice i uliczki, które pamiętają wielu królów i królowych, w których mieszkają herbowe rodziny, mówiące z prawdziwym londyńskim akcentem. Kamienice, przed którymi rosną rośliny, jakie widzi się nad Morzem Śródziemnym, rośliny innego klimatu niż Polski. Kamienice, tak duże i majestatyczne, przy których ja wydaję się sobie jeszcze mniejsza. Kamienice z czerwonego i białego kamienia, mające własne imiona. Kamienice, do których nigdy nie wejde. Kamienice chroniące swe tajemnice.

Taki Londyn. Miejsce, gdzie mieszkam, to takie sąsiedztwo, klamki trochę inne - nie zamykasz drzwi na klucz tylko zatraskujesz. Otaczają cię trochę inne domy, inni ludzie, inne jedzenie w sklepach, inne rośliny w parkach a jednocześnie wszystko jest takie samo. Wszędzie Polacy, ludzie mają podobne problemy. Coś takiego ze schizofrenii; wychodzisz z domu tak jak byś wychodził w Polsce. W metrze i na ulicy słyszysz przeróżne języki, polski czasem częściej niż angielski. I to takie dziwne uczucie jak idziesz ulicą. Niby wszystko tak jak być powinno, niby „normalnie” idziesz do pracy, a tu tak jak u Dicka albo w Matriksie, coś nie gra. W środku zimy jakiś człowiek w podkoszulku. Mój kolega określił swój Londyn mianem „dominującej nienaturalności”. A może miał coś innego na myśli, tylko ja zapożyczyłam jego określenie do opisanie mojego sposobu odbierania Londynu. Bo każdy ma swój Londyn, Londynów jest nieskończenie wiele, miliony, miliardy.

Opowiedziano mi dowcip, który, mimo, że nie śmieszny podałam dalej. Podaję.

- „Czym się różni ET od Polaka?” - „ET umiał mówić po Angielsku i chciał do domu”.

Opowiedziano mi jeszcze jeden dowcip.

„Pakistańczyk, Polak i Anglik spotykają Złotą Rybkę/Dżina, każdy z nich może wypowiedzieć jedno życzenie. Pakistańczyk prosi: - Chciałbym, żeby moim rodakom

świetnie się wiodło, żeby mieli prace i mogli wrócić wszyscy do swojego kraju, w którym się będzie dobrze wiodło. Znika, a wraz z nim, z Wyspy znikają wszyscy Pakistańczycy. Polak pyta: - Czy wszyscy Pakistańczycy są w Pakistanie, mają dobrą pracę i są szczęśliwi a w ich kraju wiedzie się dobrze? - Tak, odpowiada Rybka/ Dżin. - Wiec ja chcę tego samego dla Polaków. - Dobrze, opowiada Rybka/ Dżin. Polak znika, wraz z nim wszyscy Polacy wracają do Polski. - Co dla Ciebie, pyta Anglika Rybka/ Dżin. Ten z niedowierzaniem: - Czyli wszyscy Polacy i Pakistańczycy są w swoich krajach i nie ma żadnego w Wielkiej Brytanii? - Tak, jakie jest Twoje życzenie? - „Coke, please”. Znajomy zmienił Pakistańczyków na Południowych Afrykan, sam był z Południowej Afryki. Ich jest jednak mniej na Wyspach niż „nas”.

Nie utożsamiam się z nurtem społecznym. Nie przyjechałam tu dla pieniędzy, ani dla nauczenia się języka, nie mam w Polsce kredytów do zapłacenia, rodziny do sprowadzenia, zawałonych sesji, nieudanego życia. Nie jestem po zawodówce, nie pracuję tu za minimalną krajową, nie pocieszam się piwem „5 za 6”. Często dzwonię do domu. Przeżywałam katusze, nie mając Internetu, kontaktując się z domem raz na tydzień na 15 minut. Internet ułatwia życie. Zamiast taniego piwa albo Ace, piję dobre chilijskie albo południowo afrykańskie wino, które tutaj kosztuje tyle samo co w Polsce, czyli kilka razy taniej. (Czasem jeszcze przeliczam złotówki na funty i odwrotnie. Ile na przykład jest te zaoszczędzone w ciągu pięciu miesięcy moje 2000 funtów? Dużo czy mało?) Za minimalną krajową nie pracuję, ale daję się wykorzystywać firmie, która nie szanuje pracowników ani mojej pracy, nie za minimalną krajową, ale za stawkę, która sprawia, że żadna Brytyjka nie pracuje na moim stanowisku. Jestem wyżej w hierarchii od Polaków, którzy sprzątają kuchnię, którzy milczą, albo klną, bo nie potrafią powiedzieć nic sensownego w żadnym z języków. Pracuję na piętrze, mimo, że w mundurku, jestem widoczna. Oni przemykają się po basemencie, zupełnie niewidoczni, mimo, że w swoich zielonych kuchennych kubraczkach. Oni, jeżdżą do pracy autobusem, a ja szanuję swój czas i wydaję fortunę na miesięczną trawelkę. Anglicy, mimo, że narzekają na koszty, nie oszczędzają na transporcie. Nie mieszkam (już) w opłakanych warunkach, dzieląc pokój z obca osobą, z bandą brudnych pozbawionych życia w oczach facetów, bandą rasistów i nieudaczników. Dzielę mieszkanie z trzema pracującymi, dobrze mi znanymi osobami, po studiach, mających normalne prace.

Dlaczego Polki wcale nie rzadko znajdują tu chłopaków nie-Polaków, a Polskie byczki rzadko zacieśniają znajomości z dziewczętami niewładającymi polską mową? Nad tym dylematem zastanawiał się dziś w pracy mój chłopak. Powiedziała mi Stefan, ochroniarz z hotelu z Południowej Afryki. Spotyka on bowiem wspaniałe (gorgeous) dziewczyny i kobiety z Polski, natomiast Polacy, których spotyka są

najczęściej pokroju hotelowych kitchen cleanerów lub kitchen porterów. W świetle tej wypowiedzi, żaden dylemat już nie istnieje i nie ma się zastanawiać dlaczego chłopcy z przeprowadzek nie mają wzięcia u autochtonek. Wyolbrzymiam i uogólniam, wiem. Mam do tego prawo.

07.04.07, sobota

Gdy powiedziałam koleżdze, o tym, że piszę „pamiętnik emigrantki”, zapytałam, co on chciałaby w takim pamiętniku przeczytać. Zapytał:

-„Czy żołnierze w wysokich czapkach w ogóle się poruszają?”

Jasne, poruszają się, co jakiś czas maszerują. Poza tym co jakieś dwa dni o 11.30 jest uroczysta zmiana warty przed Pałacem Buckingham. Co prawda, przez te pięć miesięcy jeszcze nie udało mi się jej zobaczyć, a to z tego prostego powodu, że jest tam daleko, a gdy pracowałam na nocie to dodatkowo było za wcześnie, żeby się wybrać. Jest szansa, że kiedyś pojedę i zobaczę. Może jak się przeprowadzimy do zachodniego Londynu.

- „Co mnie tutaj rozczarowało?”

Zaskoczył mnie brud ulic i różnica między Londynem turystów, a Londynem zwykłych mieszkańców. To, że w dzielnicy, w której wcześniej mieszkałam (podobno była to najbardziej niebezpieczna dzielnica w Londynie), było niewielu białych, że dziwnie się czułam, gdy pierwszy raz weszłam do sklepu w którym byłam jedyną białą. Wiedziałam, że jedzenie angielskie nie jest zdrowe, ale nie sądziłam, że tak szybko przybiorę na wadze. Wiedziałam, że jest tu wielu Polaków, ale nie spodziewałam się, że można słyszeć Polski na każdej (dosłownie) ulicy. Są tacy, którzy spotkali tu znajomych z podstawówki, liceum i studiów, oraz połowę swojego miasta/miasteczka.

Miał być LONDYN a jest Łądek. Zbyt normalnie. Praca, dom, normalne życie. Miało być zachodnio i wielkomiejsko, a są problemy z myszami i szczurami. Ludzie kaleczący angielski i galimatias, w którym czasem trudno się odnaleźć.

Ale zaskoczyło również to, jak pierwszy raz zamawiałam herbatę, zapomniałam, że jestem w Anglii, dostałam oczywiście z mlekiem. Oni naprawdę tu tak piją herbatę, chociaż coffe shopy są na każdym rogu. Nie znają natomiast grzanego piwa z sokiem imbirowym, chociaż na Acton piłam w pubie Tyskie.

Generalnie mało angielsko poza centrum, bardzo mało angielsko. Tylko te szeregowe domki z czerwonej cegły i altanowe okna i wąziutkie korytarzyki jak z angielskich filmów.

- „Do czego nie mogę się przyzwyczać?”

Do wielu rzeczy się przyzwyczajałam. Do mieszkania z innymi ludźmi, do kompromisów, do wiecznego kurzu i brudu, nawet w czterogwiazdkowym hotelu. Do brudnej łazienki, gdy mieszkałam z dziesięcioma facetami. Trudno było mi się przyzwyczać do papierowych ścian, trudno było robić zakupy pośród nowych i nieznanymi produktów. Źle się czułam, gdy nie wiedziałam, gdzie kupić to czy tamto. Nie mogłam kupić na przykład cynamonu. Mają ciasteczka imbirowe, ale nie mają cynamonowych, nie ma Cini Minis. W środku zimy można kupić truskawki. W jednym sklepie można spotkać produkty z całego świata, dziwne warzywa, których nazwy ani smaku nie znam, przyprawy, których nigdy nie kupię, bo nie będę wiedziała do czego miałabym ich użyć.

Najtrudniej mi jednak było się przyzwyczać do ciągłego uśmiechania się i do mówienia proszę i dziękuję, nawet gdy nie proszę i nie dziękuję. Musiano uważać mnie za niegrzeczną, nawet gdy używałam formy prośby z would i could ale bez please powtórnego dwukrotnie. Już się nauczyłam. Pięć miesięcy to długo. Przyzwyczyłam się do osobnych kranów na zimną i ciepłą wodę. Zaczęłam chodzić lewą stroną ulicy i już nie wpadam pod samochody. No i przestało mnie dziwić to, że tak rzadko używam angielskiego. To, że ludzie się tak dziwnie ubierają.

-„Czego brakuje mi najbardziej?”

Mojej rodziny i znajomych. Mojego świata.

-„Jak mnie traktują Anglicy?”

Jacy Anglicy? Z Anglikami bardzo rzadko mam do czynienia. Głównie z ludźmi takimi jak ja, z imigrantami. Mówiono mi, że świetnie mówię po angielsku, mówiono mi, że nie wyglądam na Polkę, pytano czemu przyjechałam i czy podoba mi się Londyn. Myślę, że mogą mieć problem z falą imigrantów, myślę, że mieli czas się do tego przyzwyczać.

10.04.07, wtorek

Kolejne Święta poza domem. Tym razem spędziliśmy je wyjątkowo. Były jajka ale czekoladowe i babka i keks, ale Śniadanie zjedliśmy w pośpiechu, żeby się nie spóźnić na pociąg do Brighton. Cały dzień na słońcu, nad morzem. Wygrzewanie się na plaży, spacer, lody, było cudownie. Tylko co chwilę słyszałam język polski, a przecież od tego też chciałam się wyrwać, odpocząć. Zamiast zdjęć mamy pamiątki w postaci przypalonych nosów. Zupełnie inne świętowanie. A o Dyngusie zapomnieliśmy tak samo jak o Prima Aprilis...

Szukamy nowego mieszkania. Gdy już wstawiłam kosmetyki do szafki w łazience, kupiłam roślinkę i poczułam się normalniej, znowu trzeba się przeprowadzać. Trzy domy w ciągu pół roku. I nawet nie wiem, na jak długo tu zostanę i jak długo mam jeszcze tak siedzieć na walizkach, żyć tymczasowością. Długo tak się nie da. Wiosna. Coś trzeba postanowić. Na razie mieszkam i żyję w Londynie. Więc powinnam chyba nauczyć się Żyć. Tu i teraz. Tu i teraz to Londyn.

Anna K.